

Urodziłem się 11.09.1926 r. w Stryju w dawnym województwie stanisławowskim. Moja rodzina też stamtąd pochodzi. W 1926 roku moja rodzina przeniosła się do Gdyni. Tam moi dziadkowie i mój ojciec założyli pierwszą mechaniczną piekarnię - nazywała się "Warszawska", a znana była pod nazwą "Kukiełka". Do 39 roku przebywaliśmy w Gdyni. W tym samym roku mój ojciec, Zygmunt Bar, z powodu pracy w Polskim Związku Zachodnim został aresztowany przez Niemców i jako zakładnik przebywał w Victoria-Schule. Później Niemcy wywieźli go do Piątnicy i najprawdopodobniej 11 listopada został tam rozstrzelany wraz z innymi zakładnikami. Matka natomiast w październiku została wysiedlona i wyjechała do Krakowa.

Natomiast ja latem 39 roku wyjechałem do ciotki do Stryja, gdzie zastała mnie wojna. Mąż ciotki, jako zawodowy podoficer, wyjechał zgodnie z rozkazem na Węgry. Zostaliśmy sami, tzn. ciotka, jej córka i ja. Najpierw weszły wojska niemieckie, wycofały się i weszła armia radziecka. Zaczęło się tzw. oswobodzenie zachodniej Ukrainy.

Problem zaistniał niemały, bo ciotka nie pracowała, a teraz sama musiała utrzymać całą rodzinę. Po prostu chodziła na tzw. tandetę, czyli rynek, i tam sprzedawała wszystkie możliwe rzeczy. Tak biedowaliśmy. W pewnym sensie uratowało nas to, że ciotka została zmuszona do przyjęcia na kwaterę żołnierzy radzieckich, podoficerów. Później jeszcze dorzucili nam jednego oficera z żoną. Było więc sporo ludzi, a ciotka miała tylko trzy pokoje; w jednym pokoju my, a w pozostałych - oni. Myślę, że zakwaterowanie Sowieców ocaliło nas przed wywiezieniem. Jak wiadomo, wywozili wszystkich... Wiem - o ile dobrze pamiętam - że przyszli po nas... Pamiętam, w nocy zastukali do drzwi, zaczęli o wszystko się wypytывать, i wówczas "nasi" żołnierze radzieccy interweniowali, tak że po jakiejś chwili tamci zrezygnowali.

Wiem także, że w tej drugiej fazie wywozek, kiedy zaczęto wywozić ludzi, którzy przyjechali w tamte okolice po 39 roku, którzy uciekli przed Niemcami, przyszli również po mnie. Uratowało mnie to, że byłem u ciotki zameldowany, czyli miałem ciągłość meldunkową.

Mieszkaliśmy przy ul. Hołówki, niedaleko było więzienie. Charakterystycznymi i powtarzającymi się obrazkami były transporty. Przyprawiali do więzienia rozmaitych ludzi; byli to złapani na granicy, którzy chcieli uciekać na Węgry, a inni aresztowani przy różnych okazjach.

Naprzeciw nas mieszcza się siedziba NKWD. Widzieliśmy, jak przyprawiano ludzi, zazwyczaj nocą. Teraz nie bardzo potrafię przedstawić konkretne fakty - przecież byłem 13-letnim chłopcem...

Po wkroczeniu Sowieców zupełnie zmieniły się warunki życia. Rosjanie narzucili całkiem inny styl w porównaniu z obowiązującym przed wojną - np. organizowali przeróżne masowe mityngi, pod przymusem spędzali ludzi na rozmaite propagandowe imprezy.

Nasi lokatorzy byli to zazwyczaj ludzie otwarci, serdeczni, pomagali nam ile mogli, np. dawali nam czasem jakieś konserwy. Chcieli nawet trochę z nami rozmawiać, ale tylko wtedy, kiedy byli sami, a mieszkano ich kilku. Kiedy byli sami puszczała trochę farby w stylu: u was nie jest tak, jak nam mówiono... Mam o nich raczej miłe wspomnienia. Byli to młodzi chłopcy, weseli, dużo śpiewali... Nie przypominam sobie, żeby upijali się, by zrobić po pijanemu jakąś burdę. Ale oni byli podoficerami. Natomiast w mieście zdarzały się przypadki nie licujące z zachowaniem się żołnierza. Polski żołnierz był zdyscyplinowany... Sowieci to inny typ żołnierza, jacyś dzicy; byli szmatkowi, brudni, karabiny nosili na sznurkach, co dla nas było szokiem, bo u nas żołnierz był jak lalka... Ale oficerowie byli inni.

U mojej drugiej ciotki (siostra matki, jej mąż prowadził zakład fryzjerski) też wsadzono na kwaterę żołnierza - oficera, Gruzina,

chyba starszego lejtnanta. Ten pan był wyjątkowo sympatyczny, może to jakiś arystokrata. Wszyscy prawie Sowieci byli w zachowaniu prymitywni, a ten wybijał się swoją kulturą osobistą, np. pięknie jadł... Bardzo mnie lubił, przynosił mi jakieś cukierki, coś do jedzenia. On też, jak i inni oficerowie, był bardzo wstrzemięźliwy w wypowiedziach na tematy polityczne.

Ogólne zachowanie Sowieców odbierałismy zdecydowanie wrogo. Nie mogliśmy przyzwyczaić się do ich sposobu bycia: dla nas byli to inni ludzie z innego świata. Między Polakami i nimi istniał wyraźny dystans, przypadki społecznego stykania się z nimi były indywidualne.

Po pewnym czasie wsadzili nam do mieszkania całą rodzinę, przyjechała żona jednego z oficerów. Zaczęła robić ciotce rozmaite wstręty. Jej zachowanie było przejawem już jawnej agresji w życiu codziennym. Wywoływała stale jakieś konflikty. Nie tylko traktowała ciotkę jak służącą, ale stale podkreślała, że Sowieci nas wyzwolili, za co powinniśmy być im wdzięczni (Macie nam wszystko dać itd.).

Nienawiść ze strony Polaków objawiała się przede wszystkim w rozmowach. Trudno nam było się pogodzić z niektórymi faktami: że musieliśmy być biedni, że np. nasze tradycyjne święta były niesłychanie skromne. Pamiętam takie okresy, kiedy jedliśmy tylko skorki od chleba, bo o sam chleb było bardzo trudno. Raz - przypominam sobie - moja ciotka dostała od jakiejs sąsiadki żydówki całą miednicę skorek od chleba... Po chleb trzeba było stać parę godzin. Ciotka bohatersko walczyła o nasze przetrwanie, bo ani ja, ani jej córka nie mogliśmy iść do pracy. Trochę dzięki pomocy lokatorów, tzn. tych podoficerów, udało nam się przeżyć.

Dziś w owym czasie w społeczeństwie tendencje lewicowe. Czy były one autentyczne - trudno powiedzieć. Nie tyle wśród Polaków, ile wśród Żydów. W szkole miałem dużo kolegów Żydów. Może taki obrazek: - jeden z nich kiedyś mi powiedział: "Widzisz, z tej waszej Polski to już nie będzie". Trudno mi było coś wtedy odpowiedzieć... W każdym razie było to takie wbicie noża w serce.

Był to na pewno całkiem inny świat. Byli to ludzie niesłychanie prymitywni, np. radzieckie kobiety kupowały sobie jedwabną bieliznę i chodziły w niej na... bale. Biustonoszy używały jako... nauszników. Zresztą i my sami trochę humorystycznie ich naciągaliśmy. Strasznie interesowały ich na przykład zegarki. Stale się słyszało: - "Czasy, podaj czasy". Sprzedawało się im więc wszelkie możliwe wraki. Nawet jeśli nie chodziły, to Roskiemu kłapało się zębami nad uchem, a ten i tak kupował.

Chodziłem do IV-V klasy dziesięciolatki radzieckiej. Moja kuzynka także. Szkoła wyraźnie zorientowana była na jedno: na tzw. warstwę proletariacką, na sowiecki sposób myślenia. Nie było oczywiście mowy o historii Polski, a jeśli już była, to tylko pod jednym kątem - Polacy to obszarnicy, wyzyskiwacze, gnębiciele proletariatu itd.

Nauczycielami byli i Polacy i Rosjanie. Dyrektor był Rosjaninem, ale powiedziałbym, że był to człowiek przyzwoity. Bardzo pozytywnie bym określił niektórych pedagogów radzieckich - Rosjan. Świetna była nauczycielka języka rosyjskiego, autentycznie zaangażowana w pracę. Pamiętam, że podręczniki w języku polskim były bardzo dobrze napisane, były komunikatywne: wykład tak prowadzony, że od razu rozumieli. Nigdy nie miałem predyspozycji do matematyki, a radziecki podręcznik był tak jasny, że od razu zarapałem. Nie wiem..., ale ja sam odnosiłem takie pozytywne wrażenie. Z tym że my przyzwyczajeni byliśmy do podręczników na porządnym papierze, a te wydrukowane zostały na papierze gazetowym.

Po wkroczeniu Rosjan od razu powstały dziesięciolatki. Nie mogę powiedzieć, jak było w pierwszym roku, natomiast w drugim roku były już te radzieckie podręczniki w języku polskim. Myślę, że było to konsekwencją radzieckiego kursu skierowanego na autonomię polską w

Rosji. W ostatniej "Polityce" był na ten temat artykuł. Tworzone były takie okręgi polskie w latach 37-38 na Ukrainie i Białorusi.

Szkola, w której się uczyłem, była zdecydowanie niepolska, o określonej orientacji sowieckiej, ale dawała jakiś niezbędny zasób wiedzy. Nam dawała przede wszystkim jakąś kontynuację nauki, co dla młodzieży było niezwykle istotnie. Zupełnie inaczej wyglądało szkolnictwo podczas okupacji hitlerowskiej.

Literatura polska była głównie typu klasycznego, np. Mickiewicz i... Wasilewska. Nie była to literatura, do której byliśmy przyzwyczajeni. Sienkiewicza, którym się wówczas zaczytywałem, np. "Ogniem i mieczem", nie można było dostać. Krążyły po ludziach książki powyciągane z bibliotek.

Najbardziej zorientowana na jakiś sowiecki krytycyzm była historia, zwłaszcza dotycząca układów społecznych panujących w Polsce przed wojną.

Do kościoła można było chodzić, nie było zakazów; ludzie chodzili tłumnie, ale Kościół znajdował się w trudnych warunkach. Cerkwie również funkcjonowały normalnie. Nic nie wskazywało na to, że istniał antyreligijny terror, on istniał, ale nieoficjalnie.

Postawę Ukraińców podzieliłbym na dwie fazy. Najpierw oszołomiła ich ta "wolność", którą rzekomo uzyskali. W pierwszym roku byli wyraźnie przeciw Polakom, później jakby oprzytomnieli, bo otrzymali Ukrainę w zupełnie innym wydaniu. Chyba w 41 roku zaczęli trochę wspominać, jak to za Polski było lepiej.

Wśród Polaków zresztą też pojawiały się pewne orientacje prokomunistyczne, przede wszystkim w tzw. proletariacie, bo inteligencja na pewno nie była zorientowana prokomunistycznie. Jeśli już, to były to wypadki sporadyczne. A inteligencja stanowiła wcale pokaźną grupę; napłynęło jej dużo z zachodnich części Polski. A jeszcze miejscowa inteligencja... Stryj był przecież ośrodkiem powiatowym, miał trzy gimnazja - dwa męskie i jedno żeńskie. Był w pewnym sensie satelitarnym miastem inteligentnym w stosunku do Lwowa. Tam była autentyczna inteligencja, która nadawała ton. Ta jej część, której Sowieci nie wywieźli, gdzieś jakos pracowała, żyła... Nie przypominam sobie jednak jakichś prób organizowania się Polaków przeciwko Sowieciom. W każdym razie ja się z tym nie spotkałem.

Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej. Pamiętam, wczesnym rankiem zaczęło się ostrzeliwanie z broni maszynowej i bombardowanie węzła kolejowego. Chyba w dwa czy trzy dni później przyszli Niemcy.

Jak powiedziałem, naprzeciw nas była siedziba NKWD. Sowieci wycofując się podpalili ją. Casy gmach spłonął. Ale pozostało więzienie. Kiedy Sowieci wyszli, ludzie sforsowali bramę więzienną. Byłem tam, widziałem ludzi, którzy tam siedzieli. Uratowało się ich kilkunastu czy kilkudziesięciu. Pamiętam młodego chłopaka, lat kilkunastu, takiego opuchniętego - chyba z głodu, który opowiadał, że Sowieci przed wycofaniem się zaczęli chodzić po celach i likwidować więźniów - rozstrzeliwali. On jakimś cudem ocalał. Wszystkich rozstrzelanych wrzucili do szamba. Polacy wyciągali zwłoki... Widziałem tych ludzi, sam widziałem... Później zaczęła się grabież magazynów żywności... Pamiętam, że wziąłem sobie plik zeszytów.

W więzieniu siedziało około 200-300 osób. Byli to rozmaici ludzie, ale większość to ci, którzy chcieli przejść na stronę węgierską. Wojskowi - oficerowie, podoficerowie, cywile. Granicę obstawiali tzw. pogranicznicy, w zielonych czapkach, z psami. Widziało się całe konwoje ludzi prowadzonych do więzienia. Widziałem to chyba kilka razy.

Przyszli Niemcy. Ukraińcy znów wyszli, wyszli witac Niemców z kwiatami. Żydzi - nie! Chyba już wiedzieli, jaka jest sytuacja.

Zresztą już w pierwszej fazie zaczęło się wyłapywanie Żydów. Polacy też, powiedziałabym, z ulgą witali Niemców, wszyscy odetchnęliśmy; nie wiedzieliśmy jeszcze, co się dzieje na zachodzie, ja np. nie znałam jeszcze losów ojca. Niemcy przynieśli inny porządek...

Wkrótce przyjechała moja matka z Krakowa. Otrzymała specjalną przepustkę i w październiku pojechalismy do Krakowa. Nasze warunki materialne wyraźnie się poprawiły, matka przywiozła ze sobą trochę jedzenia, ubranie dla mnie, bo - pamiętam - za Sowietów nie bardzo mogłam wyjść na dwór, bo nie miałam ponczoch...

W Krakowie zamieszkaliśmy na ul. Urzędowej, ale Niemcy wysiedlili nas na ul. Sebastiana, tam mieszkaliśmy do 43 roku.

W 42 roku mój kuzyn, Rudolf Bar (ps. "Granit"), wciągnął mnie do konspiracji. Został szefem naszej piątki. Praktycznie nie wiedziałem, do jakiej wstąpię organizacji. Przysięgę złożyłem w kościele na Dębnikach. Wstąpiłem do AK, o czym nie wiedziałem, w każdym bądź razie nie była to żadna organizacja komunistyczna - takiej wówczas przecież nie było.

Początkowo pracowałem, by uniknąć wywózki do Niemiec, w dwóch biurach handlowych. W konspiracji rozpoczęło się szkolenie, później otrzymywaliśmy rozkazy przenoszenia paczuszek, meldunków. Zostałem wtedy skierowany do służby pomocniczej przy straży pożarnej; cała nasza grupa została tam skierowana w celu rozpoznania stanu przeciwpożarowego różnych obiektów. Naszemu dowódcy przekazywaliśmy meldunki z tych instytucji niemieckich - jaki jest układ wnętrza, co się gdzie znajduje itp. Któregoś dnia mój kuzyn wyjechał, coś niedobrego zaczęło się dziać - gestapo coś wywieszyło. Przyjechał wkrótce po nas i ruszyliśmy do partyzantki. Dostaliśmy się na Lubelszczyznę do lotnego oddziału porucznika "Małego". Dostałem wtedy jednostrzałowy karabin francuski Lebel.

W czasie koncentracji nad Wisłą w lipcu wziąłem udział w trzech akcjach. Zdobywaliśmy Opole Lubelskie, rozbiliśmy tam magazyny "Społem". 14 lipca w Kluczkowicach zaatakowaliśmy pałac, w którym mieszkali esesmani. I największa akcja - pod Urzędowem. 26 lipca wycofująca się olbrzymia kolumna esesmanów, rozmaitych niedobitków, z bydlęmi - taka wataha, zaczęła iść w kierunku Urzędowa. I wtedy dwa nasze bataliony zaatakowały, co dla Niemców było całkowitym zaskoczeniem. Jeden z naszych - "Indianin" - padł. Wg raportu porucznika "Małego" po stronie niemieckiej zabitych zostało 160, do niewoli wzięliśmy 180 - wszyscy zostali rozstrzelani.

Po uniknięciu klęski, kiedy znaleźliśmy się pomiędzy dwiema wycofującymi się zmotoryzowanymi kolumnami, 27 lipca otrzymaliśmy rozkaz wejścia do Urzędowa. Zgrupowaliśmy się w wąskiej ulicy. W 10, 15 minut po nas wkroczyły wojska radzieckie, czorgi, patrole na motocyklach. I już sytuacja była niewyrazna - znaleźliśmy się jakby w matni... Staliśmy na tej ulicy dobrych parę godzin. Czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że toczą się rozmowy pomiędzy naszym dowódcą a sowieckim, chyba generałem, ale nie znaleźliśmy żadnych szczegółów. Staliśmy cały czas pod bronią, żadnych kontaktów z nimi, zwykli żołnierze, z Sowietami nie mieliśmy. ~~Dosć na tym, że~~ pod wieczór otrzymaliśmy rozkaz wymarszu. Poszliśmy do wsi Sokołowski pod Urzędowem, gdzie staliśmy ze dwa dni, do 1 sierpnia, kiedy nastąpiło rozwiązanie oddziału, zdanie broni. Przez cały ten czas nie mieliśmy żadnych kontaktów z Sowietami. Część kolegów pochodziła z bardziej odległych terenów Polski; była grupa warszawska, krakowska, do której należeli: Rudolf Bar - "Granit", Józef Batko - "Orlik", Zdzisław Jasko - "Wanda", Włodzimierz Kudlarczyk "Gip" (?). I właśnie nas rozlokowano po placówkach we wsiach.

Wybuchło Powstanie i według pierwszej wersji mieliśmy iść na pomoc Warszawie. Cały czas niejasna sytuacja - nie wcielili nas od razu do wojska, natomiast jasne było, że mamy iść na pomoc. Powstała potem druga wersja - mamy wstępować jako oddział do wojska, ale już w momencie, gdy pojsć na Warszawę stało się niemożliwe, wzdłuż Wisły

bowiem stał sowiecki kordon - wszystkich, którzy znaleźli się w tym/na terenie, Sowieci natychmiast wyłapywali.

Już trwały pierwsze wyłapywania... A my siedzieliśmy na wsi, przenoszono nas jeszcze kilka razy, jeszcze odwiedzał nas dowódca. Padły już nazwiska, bo dowódca spisywał je, gdyż automatycznie mieliśmy awansować o stopień wyżej, praktycznie nie było już konspiracji, przysięga jednak nas obowiązywała - mieliśmy przecież iść na pomoc Powstaniu, nikt nas z przysięgi nie zwolnił... Dlatego też nie mogliśmy samowolnie wstępować do Berlinga. Ostatnio okazało się, że "Mały" prowadził pertraktacje, w wyniku których część naszych pojechała do Kragnika, by zameldować się w wojsku, ale kilka kilometrów przed miastem ktoś ich zatrzymał: - "To jest zasadzka, chcę was wyaresztować!" Wobec tego bractwo się rozjechało. Ja cały czas siedziałem po wsiach. Trochę jakby dowództwo o nas zapomniało. Nie najlepiej jedliśmy - ciągle tylko ziemniaki i biały barszcz, czasem trochę smietany, mleka.

Po rozwiązaniu oddziału dostałem trochę zotdu, chyba 500 zł. Co robić? Kupiliśmy zboże i zaczęliśmy pędzić bimber, by go potem sprzedać. Może teraz wstyd powiedzieć, ale część tego bimbru sami wypiliśmy, resztę sprzedaliśmy w Rozwadowie.

Ostatnia moja kwatera była chyba w Bożej Woli, u krawcowej. Chłopi potrzebowali wapna, pojechalismy więc do Lublina trochę kupić, i tak kupiliśmy nie to co trzeba. W drodze powrotnej zatrzymała nas milicja. Była już noc i bezwzględnie nas zatrzymali: L. "Nocą nie wolno jeździć! Kim jesteście" - pyta plutonowy, dowódca placówki - "Może jesteście z AK?" "A skądże!" - odpowiadamy. Miałem fałszywą kenkartę na nazwisko Roman Rawicz. W nocy gadka: X "To wy się tu przespijcie, rano pogadamy". Ale już nad ranem tak do nas mówi: Y "Wy się tu pętacie, a my mamy potyczki z bandami. Ostatnio nawet kilku złapaliśmy i rozwaliliśmy. Tam w garażu leży jeden z nich. Chcecie go zobaczyć?" Poszliśmy z nim. A tam leżał taki młody chłopaczek, brunet z wąsikami, miał przestrzeloną całą pierś. Plutonowy cały czas pilnie nas obserwował, jak zareagujemy. Poznałem zabitego - to był chłopak z 27 Dywizji Wołyńskiej, który w końcowej fazie naszych działań, dołączył. Spałem razem z nim na kwaterze. Osaczyli go gdzieś na strychu i zarabali... Nazywał się "Madziar", tzn. tak na niego mówiliśmy, bo podobny był do Węgra. Nazwiska nie pamiętam. Była to pierwsza ofiara milicji, jaką widziałem. Zareagowaliśmy obojętnie, więc nas puscili. Wróciliśmy z tym zrym wapnem.

Minął sierpień, wrzesień - nic się nie działo. Coraz zimniej. W październiku rozbiliśmy się na jeszcze mniejsze grupki, coraz częściej zaczęliśmy jeździć do Lublina, by zdobyć jedzenie.

Pamiętam, kiedyś siedzimy w stodole, a przez wieś idzie patrol NKWD. Mielismy ze sobą erkaem, postanowiliśmy - jeśli wejdą, będziemy strzelać. Nie weszli.

Skoro zaczęto nas wyłapywać, doszliśmy do wniosku, że w mieście łatwiej się ukryć. Żadnej styczności z dowództwem, do wojska baliśmy się iść, zostało nas tylko dwóch - Józef Batko - "Orlik", też z Krakowa, i ja. Wiedzieliśmy, że Sowieci wyłapują, ale że wywożą, nie wiedzieliśmy. Na ulicach pojawiły się plakaty "AK - zaplute karły reakcji", na każdym kroku legitymowanie - terror.

8 listopada szliśmy ulicą Królewską, a przed nami wojskowy-berlingowiec i jakiś taki facet "pochożyj" na Sowietę - charakterystyczna skorzana kurtka, bryczesy, długie buty, kapelusz borsalino - taki sowiecki smaczek. "Józek, popatrz, tu Srim idzie, w mundurze..." Przeszliśmy tak kilka kroków, a on za nami: - "Hej tam!" I zatrzymali nas. Srim do nas: "Słuchajcie, przecież wy jesteście od Małego!"

Srim należał do naszego oddziału, nasz kolega. Później się okazało, że nasłany był przez AL, by rozpracować oddział. Nazywał się

Jan Kowalski, jakiś rok temu umarł.

"Pojdźcie z nami!" - usłyszeliśmy. Pamiętam, to był taki dziwny moment, charakterystyczny dla ~~wydarzenia~~ zatrzymania. Bo na dobrą sprawę... Na ulicy dużo ludzi, dalibysmy chyba radę uciec... Niemcom od razu dalibysmy dyla, ale wtedy byliśmy tacy zaskoczeni - nasz kolega...

Zaprowadzili nas na ulicę Jasną, na UB. Od razu nas rozdzielili, ja zostaję na wartowni, kolegę wsadzili do piwnicy, do aresztu zbiorczego. Chodziło im o nasze zeznania, ale my jeszcze w drodze zdążyliśmy ustalić - nigdy u "Małego" nie byliśmy, przyjechalismy tu w ostatnich dniach, bo chcieliśmy dostać się do partyzantki, nawet nie wiedzieliśmy do kogo, uciekliśmy z Krakowa itd.

Na wartowni między chłopcy.

- Co tu robisz? - pytają.

Ja nie wiem - odpowiadam - myślę, że posadzają mnie o przynależność do AK.

Rozmowie przysłuchiwał się dowódca warty, jakiś podchorąży. W pewnym momencie zostaliśmy sami.

- Ty, słuchaj, gówniarzu - mówi - w ogóle nie przyznawaj się, że byłeś w AK, bo oni cię rozwalą, oni cię po prostu rozwalą! Siedź cicho i nic nie gadaj!

Wzywają mnie na badanie. W pokoju duże biurko, za nim jakiś cywilny zbir, Polak, morda taka... jakiegos ~~zbira~~, zboja, nalana, czerwona. Na biurku nagan. Każe mi siadać, ale tyłem do siebie, i zaczyna się bawić tym naganem, słyszę, jak odwodzi stale kurek...

- Ty jesteś z oddziału "Małego"!

- Nie, jak tylko tu przyjechałem, nie byłem nigdy w partyzantce, w AK nie byłem...

A on na to:

- Przyznaj się, bo my ci tu zaraz taki wpierdol damy, że się nie pozbierasz!

- Co chcecie ode mnie!? - trzymam się ustalonej z kolegą wersji.

Wpada jakiś NKWD-ziśta:

- Ty, przyznaj się, my wszystko wiemy, żeś był w AK, w oddziale "Małego". I przyznaj się, bo my cię... Słuchaj, jak nie będziesz mówił prawdy, to my cię wywieziemy tam, gdzie może żyć będziesz, ale jebać nie zachocziesz!

Później jeszcze mnie kilka razy przesłuchiwali twarzą w twarz, zapalona lampa prosto w oczy... Coś tam pisali i wreszcie wrzucili mnie do wspólnej celi. Tu spotkałem Józka - zeznawał tak jak ja. Nie pamiętam, ile siedzieliśmy w tej piwnicy, ale jakoś szybko przewieźli nas na Zamek. Pamiętam szcęk bramy, pomyślałem sobie wówczas - no to tym razem zakwaterowali nas na stałe...

Wsadzają mnie do celi na lewo od bramy, wewnątrz duszno, ciasno, siedzi z 60 osób. Na Zamku już mnie chyba nie przesłuchiwali. Potem przenieśli nas do baszty, tam siedzieliśmy ze dwa dni. Na ścianach pełno napisów, nazwiska... ze stąd i stąd siedzieli akowcy; myśmy też się podpisali.

Pewnego pochmurnego dnia była już połowa listopada, wywołano nas, kazali nam się ustawić w dwuszeręgu na kruzganku i "nasi" oficerowie przekazali nas NKWD. Pamiętam te ich pończoszki. Wsadzili nas na samochody, jeden drugiemu między nogami. Siedziałem blisko burty, wyrzuciłem kilka kartek, że nas chyba wywożą - wcześniej wszyscy takie karteczki popisali, ale nie wiem, czy ktoś je znalazł. Od razu na dworzec i do wagonów towarowych. Dokładnie nie pamiętam, ilu nas było w wagonie, ale pamiętam straszliwą ciasnotę. Wagon chyba był po węglu, wszędzie miał węglowy, okienka zadrutowane, jakiś niby piecyk, rura spustowa na odchody... Wywóz nastąpił nocą, tak więc w wagonie przesiedzieliśmy cały dzień. Do jedzenia nic nam nie dali.

Zaczęło się opukiwanie, Sowietci stale to robili - sprawdzali, czy nie ma jakiejs luźnej deski. W środku było potwornie duszno, choć jednocześnie bardzo zimno. Spaliliśmy jak śledzie, w nocy nawiedzały

mnie objawy duszności - to uczucie pozostało mi do dziś...

Jechaliśmy około 14 dni, na Moskwę przez Smoleńsk, Orzeł... Dość że wylądowaliśmy na stacji Baragoje. To był transport lubelski, do obozu przyjechaliśmy 26 listopada; w ogóle do obozu przybyły cztery transporty - 13 listopada z Sokółowa Podlaskiego, nasz 26, 4 grudnia z Przemyśla, 11 grudnia powtórny z Lublina.

Jeszcze w czasie jazdy chcieli z naszego wagonu niektórzy uciekać, ale starsi obawiali się, że jeśli do tego dojdzie, to ich rozstrzelają. Z innych wagonów chyba uciekali, bo pamiętam strzelaninę...

Byli wśród nas różni ludzie. Niektórzy przygotowani na wywózkę, ci mieli ze sobą ciepłą odzież, kilku nawet futra. Pewnie przygotowani byli tak z myślą o wojsku. Nazwisk sobie nie przypominam. Był natomiast ze mną przez cały czas Józek Batko. Nikt nie wiedział, dokąd i po co jedziemy... Byli to rozmaici ludzie... Nawet jacyś zupełnie przypadkowi. Aresztowani za to, że byli rzemieślnikami, właścicielami czegośkolwiek - tak przynajmniej mówili. Zresztą nikt specjalnie się nie chwalił przynależnością do AK, nie było pewności kto jest kto... Z naszego oddziału w tym wagonie byliśmy tylko my dwaj.

a
i
Co było najgorsze?! Po pierwsze ten brud, cały czas w pyle, po drugie - zimno, po drodze zaczęły się mrozy. Nie miałem ze sobą ciepłej odzieży - tylko gumowy praseczek (w czasie okupacji nazywaliśmy go kondom), przedwojenną rękawicę polską, która trochę mi przeszkadzała, bo to był w pewnym sensie znak rozpoznawczy. Nie mieliśmy żadnych zapasów żywności. Przez całą podróż robiono nam stałe rewizje, więc jeśli ktoś coś miał, to natychmiast zabierali. Najgorszy był brak wody. Zwłaszcza że po suchym prowiancie (suchary z czarnego chleba) pragnienie mieliśmy straszliwe. Dawali nam bardzo mało wody; o ile sobie przypominam po raz pierwszy dali nam po dwóch - trzech dniach podróży. Męczyły mnie koszmary senne. Ciągłe ~~mi~~ się eniła budka z wodą sodową, którą pamiętałem jeszcze z Gdyni. Towarzyszyła nam niepewność, praczliwy ton - co to z nami będzie? dokąd nas wiozą?... Nie mieliśmy żadnej możliwości powiadomienia najbliższych...

Od razu wytworzyła się, jak w każdym obozowisku, pewna hierarchia - byli już ci mniej, ~~ważni i ci~~ bardziej ważni. Nie chciałbym nazywać tego pejoratywnie, tylko po prostu już w wagonie rozpoczął się taki proces. Miałem przecież tylko 17 lat - taki niedoświadczony smarkacz, który niewiele o życiu wiedział, i nie umiałem się w tych nowych warunkach ustawić jak niektórzy starsi ode mnie, co to potrafili przepychać się łokciami...

Trzeba przyznać, że wytworzyła się między nami solidarność, np. wszystko, co dostawaliśmy do jedzenia, dzielone było sprawiedliwie.

px
Obsługa transportu nie pieściła się z nami. Sowieci byli agresywni, ale nie przypominam sobie jakiegos wyszukanego bicia, tylko jakieś poszturchiwania, uderzenia kolbą - zazwyczaj w czasie prowierek. Zapewne nienawiść Sowieców do nas wynikała z tego, że wcześniej zostali nastawieni, nagadali im, że jesteśmy białogwardystami, bandytami itd. Wynikała pewnie też z ich osobistych przekonań. W każdym razie nie przypominam sobie, żeby nas celowo wyciągano i bito, bicie było raczej sporadyczne i to w czasie prowierek. Przez cały czas tego sprawdzania Sowieci trzymali wycelowane w nas automaty, a my jak ta masa stojąca...

Te
Konczy się wreszcie udręka podróży, zatrzymujemy się na jakiejś stacji. Nie wiemy, cholera, gdzie to jest! Pierwsza rzecz, gdy otworzyli wagony, to: "Bystro!, bystro!" - wysiadać. Wysiadamy i od razu na rozmiękną drogę. Siadać na ziemię! I pamiętam, co udało mi się zrobić - miałem jakąś monarkę czy puszkę, a ponieważ siedziałem na skraju drogi, nabrałem wody, brudnej wody z rowu. Wreszcie napiłem się... Poczuję, że ~~stała~~ żyję.

Wszyscy wyszli z wagonów, policzyli nas i uformowali w kolumnę. I teraz zaczęła się najgorsza historia...

Pognano nas w kierunku obozu, wszystkich z 40 wagonów, w którym po 40-80 ludzi. Długa kolumna. Eskortowali nas młodzi chłopcy, wyraźnie nastawieni do nas agresywnie. Jeśli ktoś wyszedł poza szereg, to od razu go walono i "Prochodi!", "Prochodi!"... Poganiiali nas ostro.

Szliśmy przez jedną czy dwie wsie. Co najbardziej zapamiętałem, to zapach dymu drzewa brzoźowego.

W czasie przemarszu przy drodze stali ludzie, przeważnie stare kobiety - patrzyły na nas z troską, natomiast smarkacze obrzucali nas i krzyczeli: "Nikołajczyki!, białe pany!" itp. Te biedne kobieciny żegnały się, zapewne musiały widzieć podobne sceny jeszcze wcześniej.

Wreszcie dotarliśmy pod obóz, okazało się, że nazywa się Jegorsk, popularnie nazywaliśmy go Jogia. Najpierw cały rytuał z ustawieniem - długie liczenie, wejście do obozu. Stał taki facet i liczył nas piątkami, całą kolumnę podzielili na piątki. Liczbę wchodzących zapisywali na deseczkach, jakich my używamy do krojenia chleba...

Pierwsze wrażenie... Wchodzimy na teren obozu, a tu niczego nie widac tylko jakieś kopce pokryte śniegiem - okazało się, że to baraki wkopane w ziemię. Duże baraki, każdy przeznaczony na 300 miejsc, tzn. na 300 osób, bo coś to były za miejsca! W środku podwójne nary, z lewej i z prawej też. Małe okieneczka i chyba dwie żarówki na końcach baraku. Zaraz przy wejściu były tzw. pokoje dla prominentów - tak je nazywaliśmy, przeznaczone dla dowództwa baraku, lekarzy, w ogóle dla funkcyjnych. Pokoje odizolowane, pojedyncze prycze, nawet z siennikami.

W barakach ciemno. Poformowali nas w dziesiątki - takie jakby struktury organizacyjne do wyżywienia i później do roboty. Każda dziesiątka miała swojego dziesiątnika, który odpowiadał za grupę, wyznaczał nas do rozmaitych zajęć. Byli to nasi koledzy, sami ich wybieraliśmy, funkcyjnych natomiast jakos tam wybierają komenda obozu. Dziesiątników wybieraliśmy na zasadzie: "Słuchaj, ty teraz będziesz." Wybierało się z co sprytniejszych, żeby nami sprawiedliwie potrafił kierować, żeby mogli nam zorganizować to i to...

Wsadzili nas na te nary. Jakos grupio je zbili, bo deski leżały wzdłuż, a nie w poprzek i w czasie snu wyginały się jak klawisze. Tylko górną część, bez żadnych sienników. Spaliśmy w ubraniu dziennym. Po jakimś czasie wszyscy cierpieliśmy na odleżyny, a spać musieliśmy na boku, bo mieliśmy tak mało miejsca. W całym sektorze pomiędzy słupami musiało zmieścić się cała dziesiątka. Za poduszkę służył mi mój "majątek".

Pierwszy okres to ~~okres~~ kwarantanny. Prawie cały czas przebywaliśmy w barakach, bo do żadnych prac nie byliśmy przymuszani, tzn. tylko kilka razy nas zmuszali, kiedy trzeba było wykonać jakieś prace na potrzeby obozowe - dostarczenie paliwa, żywności itp. Byli tacy, którzy zapasywali się do transportów żywności, ja natomiast dosyć często pracowałem przy wozieniu wody, bo zabijała mnie ta jednostajność, a praca to zawsze jakaś odmiana. Do pracy wyznaczał dziesiątkowy, żeby każdy sprawiedliwie tam chodził. Nie pamiętam, czy za pracę w okresie kwarantanny dostawaliśmy jakieś dodatkowe wyżywienie, jeżeli już, to nie były to jakieś specjalne profity. Dla mnie najważniejsze było tylko wyjście z obozu. A po wodę chodziliśmy z beczkowszem do rzeki. Oczywiście koni nie było... Myśmy byli konmi - każdy miał założone szele i tak ciągnęliśmy beczkowsz do obozu. To była taka iluzoryczna wolność...

Jak to wśród ludzi, różnicowały się nastroje od skrajnie pesymistycznych do skrajnie optymistycznych, np. wielu wierzyło, że na święta nas puszczą, co oczywiście było absurdem, bo wychodziłoby

na to, że przywieźli nas tu na dwa tygodnie, by zaraz puscic... Najgorsze to wspomnienia o jedzeniu. Zwłaszcza starsi panowie wspominali, jak to ich żony gotują... Kiszki się skręcają, a tufaceci mówią o przysmakach, rozkoszują się szczegółami. Wychodziłem wtedy z baraku, bo nie mogłem tego wytrzymać.

Święta Bożego Narodzenia wyjątkowo smutne. Nawet nie było księdza (dopiero po okresie kwarantanny się ujawnił). Tyle że zebraliśmy się w Wigilię pod jedną żarówką, powspominaliśmy, popłakaliśmy nad naszym losem. I tylko tyle. Za to Sowieci zrobili nam w tym dniu prezent - wyjątkowo długą prowierkę. Przetrzymali nas na placu, porządnie zmarzliśmy.

Jedzenie. Pamiętam pierwszą zupę - jakąś taką zawiesiną z obierzyn z ziemniaków, dosłownie nie wypłukane obierzyny z kartofli. W menażce na dnie zebrało się ze trzy centymetry błota... W drugim okresie dawano nam zupy rybne, rzekomo z ryb... Zupy bardzo ostre, pieprzne. Ryb było tyle, że połowę menażki wypełniały ości. Ohydna lura! Ohydna lura, którą dostawaliśmy trzy razy dziennie: rano najcięższa, wieczorem taka sama, a rzekomo na obiad była lepsza - ale ja nie rozróżniałem.

Podstawowym produktem był chleb - rzekomo 600 gramów dziennie, ale to była pajdka chleba jakby z formy, grubości około 2,5 cm, bardzo wilgotny. Otrzymywaliśmy porcje już przygotowane, następnie odbywało się losowanie, bo największą frajdą było dostać piętke, taki kawałek, na którym najwięcej było skory.

Praca. W okresie kwarantanny nie byliśmy do prac kierowani, pracowaliśmy tylko okazjonalnie. Ale pamiętam, kiedy zabrakło w kuchni drewna na opał, wygnano nas do lasu. Była to po prostu taka nasza Golgota, olbrzymia próba sił fizycznych i psychicznych. Wygnano nas na trasę około 10 kilometrów w jedną stronę. Każdy dostał na ramię drewniane polano... Spora część kolegów nie wróciła o własnych siłach, dowiedźno ich. Ja się dobrze urządziłem, bo żywność, jaką miałem ze sobą, zjadłem dopiero na końcowym przystanku - może dzięki temu właśnie udało mi się powrócić o własnych siłach. Byliśmy już przecież skrajnie wyczerpani, bądź co bądź trzy miesiące w obozie, z takim jedzeniem... Przyszliśmy, koledzy powitali nas jak przybyszów z innego świata. Dostaliśmy niby gorącą zupę, ale wcale nie była ona lepsza od innych; żadnej nagrody za nasz wyczyn techniczno-sportowy. Tyle że wróciliśmy szczęśliwi - żyliśmy!

Po raz drugi poszedłem do pracy, ale dlatego, bo koledzy się wymigali, a ktoś musiał iść... Postawy były rozmaite... Ja jestem człowiekiem nastawionym do życia aktywnie, zresztą to pozwoliło mi przetrwać. Od samego początku miałem takie nastawienie - ja chcę i muszę przetrwać! Aczkolwiek w pewnym okresie byłem już nie do życia.

Jak mówiłem, miałem skromne ubranie, zwłaszcza że te prowierki trwały czasem bardzo długo - dwie-trzy godziny, bardzo marzłem. A Sowieci nigdy nie mogli się doliczyć, ciągle im kogoś brakowało. A kiedy ktoś uciekał, to już wtedy celowo je przedłużali. Mój dziesiętnik jakos zadziarał i dostałem kufajkę, chyba po jakimś nieboszczyku, żołnierzu radzieckim, bo cała była pokrwawiona, ale już było mi znacznie cieplej. Zresztą długo się nią nie cieszyłem, bo miał ktoś w nocy ukradł. Później otrzymałem szynel radziecki, znacznie lepszy, bo długi, i w nocy mogłem się nim przykryć.

Zakończyła się kwarantanna. Przed przystąpieniem do pracy każdy z nas stawał przed komisją lekarską. Spuszczali spodnie i pokazywali tyłek. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale okazało się, że w zależności od stopnia umięśnienia pośladków określano naszą przydatność do pracy. Widocznie moje pośladki były w dobrym stanie, bo zostałem skierowany do transportu, który poszedł do Borowicz, do stadtlaagru, skąd chodziliśmy do kirpicznego zawoda. Była to fabryka cegieł, którą mieliśmy po wysadzeniu w powietrze przez Niemców odbudować. Niestety wpadłem w złe komando, ponieważ jego zadaniem

było odnośnienie urobku z betoniarki. Ciężka praca - dwójkami taszczyliśmy to w nosiłkach, a goniła nas przez cały czas ta betoniarka. Tak ustawiono patrole, że nigdzie nie mogliśmy się urwać. Pracowaliśmy na powietrzu, bo hala była odkryta, więc wyziębieni byliśmy straszliwie. Ja jeszcze długie lata po wojnie czuję się taki zmarznięty. Kiedy wróciłem do kraju, nie mogłem się nigdy ogrzać. Do pracy oddalonej o kilka kilometrów chodziliśmy torami po podkładach - zrywaliśmy stale nogi. Kiedy przychodziło się do pracy, już człowiek był zmęczony. Później 8 godzin pracy i powrót do obozu...

W stadtlagrze karmiono nas kapusniakiem. Była to jakaś zmarznięta niedoogotowana kapusta, do tego chleb, taki jak wcześniej, i łyżeczka cukru na dzień.

Odmroziłem sobie wówczas nogi, bo wcześniej wymieniłem swoje buty, całkiem przyzwoite, na niemieckie saperki, które okazały się przyciasne a po nasiąknięciu stawały się twarde. Miałem odmrożenie trzeciego stopnia; każdy krok kosztował mnie dużo bólu, muszę się przyznać - kiedy szedłem, prakąłem z bólu. Z tego powodu, co było rzadkim zjawiskiem, otrzymałem chyba dwa czy trzy dni zwolnienia lekarskiego. Nie miałem czym owinąć zropiałych nóg. Dostałem nareszcie czysty bandaż!

Wtedy cofnięto nas do Jogi, powrócono jakby do kwarantanny, bo w obozie zaczęła się czerwotka, na którą ja też chorowałem. Był to maj 45 roku - pamiętam - ogłoszono koniec wojny. Miałem silną biegunkę, ale nie zgłosiłem się do baraku szpitalnego, bo tam po prostu... umierali ludzie. Nikt po chorych nie sprzątał, każdy, że tak powiem, robił pod siebie, chorzy nawzajem się infekowali. Może moja decyzja uratowała mi życie...

Jak się leczyłem? Nie było oczywiście żadnych leków. Paliłem drzewo brzoźowe i ten węgiel po prostu żarłem.

Ze zbieraniem drzewa związane jest pewne wspomnienie. Otoż kiedy tak zbierałem strożyny tego drzewa, za barakiem, na drodze zobaczyłem jeńców węgierskich, których wówczas przywieziono do naszego obozu. Dotychczas byli tam Polacy i sporo Niemców; Niemcy przeważnie zajmowali miejsca funkcyjne, zresztą stosunkowo wczesnie zaczęli wracać, wcześniej niż my.

Stan sanitarny. Przez pierwsze dwa miesiące w ogóle się nie myliśmy, tylko co najwyżej śniegiem. Raz nam zrobiono, tuż przed pojęciem do roboty, tzw. łaźnię. Szliśmy do niej dziesiątkami, każdy dostawał skopek letniej wody (dwa, trzy litry), kawałeczek mydła - jak paznokiec. Ale co to za mycie! Woda letnia, mało, a byliśmy przecież strasznie brudni, odzież ta sama, zawszeni... Właściwie to tylko się obmazaliśmy, bo tą ilością wody nikt nie mógł zmyć skorupy brudu. W międzyczasie nasza odzież poszła do dezynfekcji, gdzie rzekomo miano wybić wszy, wyparować je, podczas gdy one chyba jeszcze bardziej się rozmnożyły. Jedyny plus łaźni to możliwość ogrzania się. Cały pobyt w łaźni oczywiście źle był zorganizowany, bo zanim nas spędzono, zanim wszystko przygotowano, to my po oddaniu odzieży zdążyliśmy porządnie zmarznąć - tak staliśmy na golasa i czekaliśmy. Na szczęście był tam jakiś piec, przy którym trochę się ogrzaliśmy. Na dodatek w międzyczasie cały barak opróżniono, otworzono, by wymrozić pluskwy. I do takiego baraku mieliśmy powrócić! Dostałem taką porcję oziębienia!...

Baraki były strasznie zapluskwione. Pamiętam, spałem na dolnej narze - pluskwy wchodziły na górę i spadały na nas jak deszcz, celowały w odkryte miejsca, tak więc nocą staraliśmy się jak najlepiej przykryć, by żadna część ciała nie wystawała. Pluskwy siedziały wszędzie, jedyny sposób na nie to wszystko spalić.

Ocieka medyczna. W Jogle z opieką medyczną nie spotkałem się, bo jej nie potrzebowałem. Wiem, że istniał barak szpitalny, w którym część moich kolegów przebywała, ale ja tam nigdy nie byłem. Służba

sanitarna uczestniczyła w kilku prowierkach. Przeglądali nasz stan fizyczny. W tym składzie sanitarnym były też kobiety i dla nas oaradowanie przed nimi na golasa było żenujące. Pamiętam taką młodą fajną lekarke.

Ucieczki. W Jogle pamiętam dwie ucieczki. Na samym początku ktoś uciekł, ale ich złapali, jednego z nich chyba zastrzelili, drugiego wsadzili do karceru. Zwłoki zastrzelonego położono na placu i kazali nam wszystkim koło niego przechodzić. W drugiej ucieczce uczestniczył mój kolega, Henryk Pietrusiński - ps. "Aosa" (mieszka w Warszawie). Doszli aż do Wielkich Łuków. Wpadli grupio, bo przechodząc przez tor kolejowy akurat natknęli się na patrol NKWD, który ich cofnął.

Według wersji kolegi Kucharskiego, udało się uciec dwóm leśnikom, ale nazwisk nie pamiętam, wiem tylko, że byli z południa Polski. Udało im się dotrzeć do Polski.

Wewnętrzna nasza organizacja. Powiedzmy sobie szczerze, że była ona związana z wyżywieniem i pracą. Trzecia sprawa - dużo było kapusiów, byli tacy, którzy donosili do komendy... Zaufania poza swoimi kolegami człowiek nie miał. Pamiętam Kiliszczuka i jeszcze innego, który powrócił z nami, ale nazwiska nie pamiętam.

W żadnych strukturach organizacyjnych nie brałem udziału. W Jogle byłem na to za krótko, odmienne warunki, głód... W zasadzie głównym zajęciem większości stało się zdobywanie jedzenia.

Osobiście nie starałem się w jakiś drastyczny sposób zdobyć dodatkowych porcji jedzenia. Byli koledzy, którzy chodzili po śmietnikach, stale chodzili do kuchni. Byli też tacy (ich zachowanie było przejawem samobójstwa), którzy ze swojej porcji chleba robili tzw. prążuchę - gotowali chleb i otrzymywali jakby zupę. Oszukiwali się w sensie objętościowym, bo kalorycznie to nic nie dawało. Niektórzy gotowali trawę. Ja nic takiego nie robiłem, bo wychodziłem z założenia, że to, co jest do jedzenia, musi wystarczyć, by nie rozpychać żołądka. A tamci po prostu rozpychali tylko żołądki, jaknienie rosło, którego nie mogli zaspokoić. Ci umierali szybko... Pamiętam, jak za barakiem kilku sobie gotowało takie jedzenie, a wkrótce wywożono ich nieżywych...

Chleb nie zawsze przychodził na czas, i to było przykre, bo każdy się bał, że jego porcję mogą ukręcić. Powiedzmy otwarcie - przecież to nie byli tylko aniołowie, sami ideowcy, kradzieże były normalnym zjawiskiem. Kradli chleb, gdyż wielu zostawiało sobie część porcji na później.

Ten jałowy chleb sprawiał jeszcze jedną, przykrą niedogodność - wypróżnianie się. Przecież to była męka! Kał nie chciał wyjść, bo to były trociny... A jeszcze zimno... Dupsko biedne, odkryte, zmarznięte...

Jeszcze wróćmy do prób zorganizowania się. Jeden z kolegów (mieszka w Lublinie, Tadeusz Raczkowski) organizował życie kulturalne. Wynikało to głównie z chęci przeciwstawienia się szarzyźnie obozowej, defetyzmowi... Organizował skecze, humorystyczne wystąpienia. Pomagały panie (bo był także barak kobiecy, ale ja osobiście nie znam żadnej więźniarki). Pamiętam, to chyba było jeszcze przed moim wyjazdem do stadtlagru, przyszedł wieczorem do baraku jakiś Niemiec. On grał, myśmy leżeli, dał koncert na skrzypcach. Po raz pierwszy poczułem, że powróciłem do jakiegoś cywilizowanego życia. Poczułem się człowiekiem, który nie jest tylko w otchłani dna. To była kąpiel, która choć trochę zmyła ten codzienny obozowy brud, poczułem się naprawdę przy tej muzyce odgwieziony psychicznie.

Barak to była straszna rzecz - szum. Bez przerwy rozmowy, stykanie się. 300 osób. Człowiek stale otoczony ludźmi, bez żadnej możliwości odizolowania się. Do dzisiaj mam taką jakby chorobę - nie znoszę tłumów. Każdy na każdego wchodził - było ciemno... Np. jeden z kolegów (już nie żyje, mieszkał w Gdańsku, nazywał się Zbylut, (po

wojnie zmienić nazwisko na Adam Edelman) miał przykry przypadek - idąc w ciemnościach nadział się na wystający zardzewiały drut i wpakował sobie w oko; już nigdy na to oko nie widział.

Wracając do Jogi ze stadtlagru. Zakończenie wojny. Miałem silną biegunkę tego dnia - biegłem do ubikacji, na ile się mi starczyło, usłyszałem strzały, okrzyki - wojna się skończyła! Dowiedzieliśmy się o tym z dwudniowym opóźnieniem.

Kolejny przegląd - zaklasyfikowano mnie jako dystrofika na baraku dla ozdrowieńców. Barak wydzielony, nie chodziliśmy do pracy, dostawaliśmy znacznie lepsze wyżywienie, tzn. pożywne zupy. Moja dystrofia polegała na tym, że nie miałem siły chodzić, pod lekką garbkę już nie mogłem podejść. Przy każdym siedzeniu natychmiast zasypiałem - spiączka spowodowana zanikiem mięśni. Być może dlatego moja pamięć mocno jest zawężona. Np. usiłowałem sobie wówczas przypomnieć nazwisko po mężu, siostry: mojego ojca; pamiętałem, że Józefa, ale nazwiska Domaradzka za nic nie mogłem sobie przypomnieć przez kilka dni. Miałem jeszcze awitaminozę i kurzą ślepotę. Wieczorem kompletnie nic nie widziałem, tylko żółte plamy; wieczorem koledzy musieli prowadzić mnie na nocleg. Organizm był kompletnie wyniszczony. Nie udało się Dostałem kilka kropel tranu i przeszedł mi kurza ślepota. Całe ciało małem od awitaminozy w plamach, niezależnie od ukąszeń wszy i pluskiew.

Kiedy siedziałem w baraku dla dystrofików, zaczęła się kolejna faza naboru do pracy. Mnie wprowadziła praca nie obowiązywała, ale dowiedziałem się o powstaniu tzw. komanda Makarewicza, które ma być skierowane do pracy w magazynach żywnościowych. Zdycham z głodu - myślałem sobie - szanse na przeżycie niewielkie, trudno, trzeba ryzykować. I chyba ta moja decyzja przyczyniła się do tego, że żyję, bo mój stan był taki, że niewiele brakowało, a byłbym kipnął.

Dostałem się do tej brygady. Rzeczywiście pracowaliśmy w magazynach żywności w Kowance (oddział obozu). Magazyny znajdowały się na wysokich palach, bo teren był podmokły, także można było pod nimi chodzić. Pracowaliśmy przy przenoszeniu worków z mąką, kaszą, był chleb. Najważniejsze, że magazyny miały drewniane podłogi, które były nieszczelne, czyli można było podchodzić pod spodem, drutem przebić otwory i do czapki. Zawsze wyszło trochę kaszy, pęczak. Było nas szesnastu i w końcu zorganizowaliśmy sobie robotę: chodziliśmy w różne kąty pod podłogę i wypruwaliśmy żywność, którą potem gotowaliśmy. Jeden z nas - nazwaliśmy go kucharzem-powarem - nic innego nie robił, tylko bez przerwy gotował, zazwyczaj pęczak; zbierał rumianek i gotował go - wychodziła taka ziołowa herbata. Dostawaliśmy trzy, cztery porcje. Jak ugotował - chłopaki brali! Praca była ciężka - nosiliśmy stukilogramowe worki, ale mieliśmy jedzenia pod dostatkiem. Wtedy od tej roboty dorobiłem się dysku. Ale po pewnym czasie nabrałem cięży... Pracowałem tam prawie do końca obozu, stamtąd chyba powróciłem do kraju. Za tę dodatkową żywność mogłem sobie sprawić dodatkowe buty, zapalić papierosa, czego wcześniej nie miałem, bo cena jednego szęta wynosiła kawałek chleba, mogłem sobie kupić czapkę... Gdy wróciłem do kraju, byłem niezłe umięśnionym facetem, wyszedłem z dystrofii, ale nie wyszedłem z gruźlicy, z powodu której w 46 roku zwolniony zostałem z wojska.

Pamiętam, raz pracowałem przy ładowaniu chleba na wagony, wrzucaliśmy go z rampy, tak więc pomiędzy wagonem a rampą była przerwa. Pod wagon wszedł jeden z naszych i rzucaliśmy mu - daliśmy na to - co dwudziesty bochenek, choć nas stale pilnowali. Gdzieś trafiła była ten chleb ukryty blisko rampy, gdyż nas rewidowali. Znaleźliśmy zalany wodą bunkier, zbudowaliśmy jakby tratwę i na niej ziożyliśmy chleb. W międzyczasie Sowietci doliczyli się, że im brakuje. Zaczęło się badanie, jakiś Ruski mnie złapał, zaczyna mnie wypytywać, zdenerwował się, wyciągnął nagan i do mnie. Spojrzałem w tę lufę rewolweru, w otworek jak przy kłamce... Palnie? Nie palnie? Czy coś

V klony ten: byli w obozie, ¹³

nie wyleci?... Ale tylko mnie tym naganem uderzył. Zaraz padłem na ziemię - więcej udawałem, choć uderzył mnie mocno, ale nie aż tak, bym od razu zemdlął. Udałem, że jestem nieprzytomny. On się bardzo przstraszył, coś tam jeszcze pokrzyczał i poszedł. I tak cała impreza się skończyła.

Msze święte. Były odprawiane tylko w Jogle - w Kowance nie przypominam sobie. Odprawiane były tak jakos półoficjalnie, za cichą zgodą komendantury. Nie pamiętam wiele... Wiem, że uczestniczyłem, ale muszę powiedzieć, że nigdy nie pchałem się Bogu pod nogi... Na mszy zawsze było pełno ludzi, część stała poza barakami.

Kontakty z obcokrajowcami. ~~Na wiec~~ Węgrami, kontaktów nie miałem, z Niemcami tak, ale nie były to kontakty sympatyczne. Niemcy w obozie zachowywali się arogancko, podkreślali swoją wyższość. Na przykład, jesteśmy w jaini, myjemy się, wchodzi jakiś starszawy Niemiec, chyba mocno chory, bo po prostu lało się z niego. Zaczął się tak na się przysuwać do pieca, rozpycha się - na to miał się! Ktoś mu zwrócił uwagę: Co się tak pchasz!? A on zaczął wrzeszczeć... Niewiele było trzeba, jeden, drugi mu dołożył i na tym skończyła się sprawa.

Drugi przykład. Wiosną 45, już po kapitulacji Niemiec, przyprowadzili do nas grupę oficerów niemieckich, wziętych do niewoli w Kurlandii. Faceci z orderami, elegancko ubrani, ciepłe czapy - jakby dosłownie wczoraj byli jeszcze w koszarach. Fason trzymali jak diabli! - to trzeba przyznać.. Ich buta była widoczna - tak stali, patrzyli na nas z taką pogardą, na tych już zmarnowanych obozowiczów. Tacy pewni siebie, w pełnym rynsztunku, tylko bez broni. Pomyslałem sobie wtedy - ciekawe, jak długo wy będziecie tacy butni... Nie wiele czasu upłynęło, orderzy spadły... Stali się szarymi więźniami, takimi jak my.

Ale byli i inni Niemcy, z którymi można było pogadać, nawet niektórych funkcyjnych nasi pozytywnie oceniali. Ja osobiście niewiele miałem z Niemcami styczności.

Dla mnie końcowy okres pobytu w obozie (od sierpnia) był już znosny, zwłaszcza pod względem jedzenia. Nadal to samo: dziesiątki na tych samych narach, ale nie byłem przynajmniej głodny, a nawet mogłem sobie kupić coś z odzieży, stać mnie było na zakupienie pamiątkowego pierścionka (takie rzeczy robili niektórzy moi koledzy), który był jedyną cenną rzeczą, jaką przywiozłem z obozu (był z blachy aluminiowej). Dzisiaj trochę żałuję, bo oddałem go w podzięcie Matce Boskiej w jednym z krakowskich kościołów - miałbym choć jedną pamiątkę. Przywiozłem jeszcze zaświadczenie, jakie mi dano na granicy - toczę boje, by otrzymać odpis ankiety, ale odesłali mnie do komisji badań zbrodni hitlerowskich. Robiłem coś w rodzaju zapisków - może są u mojej matki. I jeszcze plaketkę - "I", czyli "Internowanyj"...

Z Polski nic do nas nie docierało, rodziny o nas kompletnie nic nie wiedziały. Moja matka, jak mnie pożegnała, gdy szedłem do partyzantki, tak ujrzała mnie 3 czy 4 marca 46 roku. Poszukiwała mnie przez Czerwony Krzyż, ale bez skutku. Nikt nami się nie interesował, w sensie polskich i obcych władz. Dzisiaj Amerykanie potrafią krzyczeć, gdy dwóch Palestyńczyków zabili, a kiedy nas dręczono, o tym nikt nic nie mówił.

28 lutego przyjechałem na granicę, do Białej Podlaskiej, było to w dniu moich imienin. 1 marca otrzymałem zaświadczenie i byłem wolny - po raz pierwszy mogłem iść ulicą i nikt za mną nie szedł! Bógie to uczucie...

Wyjazd z obozu nastąpił w połowie lutego, chyba od razu z Kowanki. Nie pamiętam, czy szliśmy do wagonów, czy nas wzięli. Nie pamiętam momentu załadunku. Zapamiętałem tylko, że ostatniego dnia wieczorem zrobiono nam apel, przyszedł jakiś oficer: "Teraz już jedziecie do Polski". Ale my i tak obawialiśmy się, nie mieliśmy pewności, czy nie wiozą nas gdzieś dalej. Pyta się: "Jak wam było w Rosji?!" My oczywiście: "Chorosz!" Bo co mieliśmy powiedzieć?...

6
7 Co istotne - już pod koniec pobytu nie robili nam powierek na powietrzu, tylko w barakach, a to była już duża ulga.

Nie pamiętam też przewozu do Polski, tylko pamiętam, że mieliśmy już znacznie lepsze warunki, np. było luzniej w wagonie, porobiono nary. Ale z kolei nie dali oparu, cięliśmy więc wewnętrzne deski, które stanowią wzmocniającą konstrukcję wagonu, i paliliśmy je w piecu; jak ten wagon dojechał, nie mam pojęcia. Dawali też jakby lepsze jedzenie. ya

Jeszcze w Brzegu przetrzymali nas ze dwa dni. Czekamy i czekamy, aż bractwo wpadło w szarą, dosłownie - zaczęła się zbiorowa histeria. Krzyki: „Puszczcie nas! Tupańcie, bicie w wagony. Bractwo było już kompletnie rozdygotane... Obojętne nam było, co się z nami stanie. Dopiero po tym nas wypuścili.

Po nas wchodzili do wagonów nasi następcy, pod strażą, prawdopodobnie własowcy. Wszyscy w futrzanych czapach, rozmaicie umundurowani, ale w ciepłej odzieży.

Przywieźli nas do Białej Podlaskiej, zakwaterowano, zrobiono zdjęcia na UB. Każdy z nas podchodził do oficera (w randze podporucznika czy porucznika), a on wypisywał ankietę powracającego; pisał, chyba: aresztowany za przynależność do AK. Ubek mnie pytał:

- A gdzie ty byłeś w czasie okupacji?
 - A w czasie której? - pytał.
 - Jak to której?! - on na to.
 - Do ja byłem w Stryju - mówię - we Lwowie...
 - No, no! Uwaga! - rzuca - Chcesz wrócić, skąd przyjechałeś?
- Nie już nie powiedziałem...

Podpisywaliśmy ankietę, wydali nam zaświadczenia, fotograf robił zdjęcie z numerem. W PUR-ze dali nam kilkaset złotych i bezpłatny bilet i z Józkiem Batko przez zniszczoną Warszawę wróciliśmy do Krakowa. Nikdzie nie kazali się meldować.

Co pozwoliło mi przeżyć? Może moja chęć powrotu?... Powiedziałem sobie, że muszę wrócić! Nie poddałem się jakos tej obozowej erozji psychicznej. Mimo straszliwego bytowania, tego wszystkiego, co mnie otaczało, zawsze towarzyszył mi wrodzony optymizm. Ja chcę wrócić do domu, przecież tam na mnie czekają! Nawet mnie czasami denerwowało, że niektórzy tak łatwo się psychicznie poddawali. Mężczyźni, dorośli, ludzie już psychicznie dojrzały, a ja jakos się nie dawałem... Nie chodzi o to, że ~~tu~~ tu chcę bohatera z siebie robić, tylko - pamiętam - denerwował mnie ten niepotrzebny smutek, wieczne jęczenia: a co to z nami robią?, a może wywiozą dalej?, a może rozstrzelają?... Chociaż ja też, kiedy zachorowałem na dystrofię, przestałem wierzyć w powrót.

Dużo pomogła mi religia; był to okres, kiedy człowiek stawiał się wyjątkowo podatny na sprawy religijne.

Przez cały pobyt w obozie miałem w pamięci pewien obrazek - moment pierwszego zameldowania się u dowódcy oddziału. O tym wydarzeniu stale pamiętałem i to też pomogło mi przetrwać. Inni, też z partyzantki, przecież załamywali się. Np. Józek Batko popadł w pewien rodzaj rozstroju nerwowego, jakieś objawy schizofrenii - potrafił godzinami siedzieć, oczy w supeł... zatracił wiarę w powrót. To mnie denerwowało - jak można tak leżeć i pierdolić opowiadać, że zginęliśmy... Panowie - mówiłem - poki żyjemy, nie zginęliśmy.

Uratowały mnie pewne zbiegi okoliczności, do których zaliczam przede wszystkim (jeśli chodzi o stronę fizyczną), co było jakimś brogostawieniem Opatrzności, - że dostałem się do brygady Makarewicza.

Ludzie sobie też jakos pomagali. Muszę tu wspomnieć o Józefie Kucharskim (w obozie był ze swoim umierającym ojcem, który przeżył i powrócił), który dużo mi pomógł. On mi kilka razy dobrej zupy - nigdy mu tego nie zapomnę. To są wartości, o których trudno edna

zapomnieć, które do dziś mnie wzruszają...

Na pewno pobyt w obozie pozostawił skazę w mojej psychice na długie lata. Głównie obawa w tamtych latach, kiedy każdy, kto był związany z AK, żył pod presją. Wstyd dzisiaj o tym mówić, ale wtedy nie przyznawaliśmy się... Do ZBOWiD-u wstąpiłem zresztą dopiero w 79 roku tylko dlatego, powiem szczerze, by mieć dziesięć dni urlopu więcej... Ale ZBOWiD nie jest moją organizacją...

Cenię sobie to, że dożyłem takich czasów, w których możemy rozmawiać na te tematy. Odzywa się coraz więcej odważnych głosów, jak np. posła Bendera w sejmie. Cieszę się, że będę mógł dla moich kolegów zorganizować to nasze spotkanie. ~~to~~ Naszym obowiązkiem jest, by te wspomnienia ujrzały kiedyś światło dzienne; jest to ciąg dalszy służby i wszyscy ci, którzy mogą, o ile starcza im sił i fizycznych i psychicznych, od tego obowiązku nie zostali zwolnieni.

doj